№ 85. Warszawa, dnia 10 (22) Października 1872 roku. Tom II. —Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

ALFRED de MUSSET.

Studyum literackie.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 84*)

Następstwem takich namiętnych miłości—bywa zawsze podejrzliwość, niewiara w miłość téj właśnie kobiety, która się dla uwodziciela poświęciła; a poeta który umie w kilku słowach zaznaczyć tę obiektywną refleksyę, daje dowód, że prócz artystycznego piękna, miał jeszcze głębsze cele.

Tu należą piosnki i fragmenta, dające się podłożyć pod muzykę, jako: l'Andalouse, le Lever, Madrid, Madame la Marquise, Ballade à la lune, którą dla saméj oryginalnéj formy, warto byłoby na polski język przełożyć.

Mardoche jestto poemat w którym przebija się humor czysto-francuzki, igrający z życiem, z zasadami czczonemi przez ludzi, w sposób lekki ale nie cyniczny. Duchem i formą, nasuwa pamięci nieustannie strofy *Don Juana* a trochę i naszego *Beniowskiego*. Zapoznajemy się z młodym niedowiarkiem, paryżaninem, w którym trzeba się domyślać osobistości samego poety. Filozofujący Mardoche zajmujący więcéj własną, osobą aniżeli swą nieszczególną miłosną awanturą, jeszcze z pistoletem w ręku podrwiwa z Hamleta. Znałem przeszłego roku—powiada Musset, młodego człowieka nazwiskiem Mardoche, który żył po całych dniach zamknięty. Nie znał wcale Keana, ani Napoleona, ani pana de Meternich... Za dużo musiałbym gadać o jego rodzicach, dość, że jego praprababka z linii żeńskiéj była dziewicą Orleańską. Miał także złe przyzwyczajenie, że pisywał wiersze, które mimo że były nieznośne, miały swych czytelników. Zresztą był to „esprit fort", któryby chętnie zrobił sobie latarkę z trupiéj główki, a jadł zupę z czaszki swéj babki. Zupełnie jak lord Bajron. W obec wszechmogącego Boga wszakże, osioł tyle znaczy co i jego pastuch. Ponieważ dla przepędzenia czasu często zaglądał w jedną książkę (ludzkie serce) a zatém czytał w niéj może za wiele, a umysł zawcześnie dojrzały nie zawsze się na co przydaje. Z téj to przyczyny dodaje poeta—nigdy na balu nie tańczył."

W tym tonie lekkiego, czysto-francuzkiego sceptycyzmu—opisuje swego bohatera. Mardoche odziedziczył po staréj wdowie i oto arcykomiczna apostrofa poety:

Que dorme en paix ta cendre, ô quatre fois bénie
Douairière, pour le jour ou cette sainte envie
Comme un rayon d'en haut te vint prendre en toussant,
De demanader un prêtre et de cracher le sang!

. . . .
Tes meubles furent mis, douairière, au Châtelet
Chaum vendu le tiers de l'argent qu'il valait.
De ta robe de noce on fit un parapluie;
Ton boudoire, ô Venus, devint une écurie.
Quatre grands lévriers chassèrent du tapis
Ton chat qui, de tout temps, sur ton coussin tapi,
S'etait frotté le soir l'oreille à ta pantoufle;
Et qui, maigre aujourdhui, la queue au vent s'essoufle
A courir sur les toits des repas incertains,
—Admirable matière à mettre en vers latins."

O ty wdowo nad wdowy, o czterykroć święta!
Wieczny pokój twym prochom! a bądź wniebowzięta
Za ów dzień, gdy jak promyk ze szczerego złota
Spadła na cię kaszlająca anielska ochota
Wołać co żywo księdza i krwią spluwać gęsto...
Twoje sprzęty na rynek ruszyły gromadnie,
Kto dał trzecią część ceny, ten pieniądze kładnie.
Z twojéj ślubnéj sukienki mam parasol w dłoni,
W twéj sypialni, Wenero, koń trzęlami dzwoni
Cztery wysmukłe charty spędziły z kobierca
Twego kota białego, duszkę twego serca.
Zamiast sypiać w pantoflu, miętosić posłania,
Dziś się biedak po dachach za wróblem ugania...
Doprawdy śliczny temat do łacińskich wierszy...

Rozmowa Mardoche'a ze starym wujaszkiem, zmuszonym odstąpić na probostwie szalonemu siostrzeńcowi pokój swój na schadzkę, straciłaby na opowiadaniu, potrzeba ją czytać. Kończy się awantura miłosna Mardocha dosyć pospolicie, bo zjawieniem się męża—żona idzie do klasztoru, Mardoche zaś potrzebuje aż sześciu miesięcy ażeby zapomnieć, czyli ażeby się przygotować do nowéj miłostki.

Do tego okresu zaliczyć trzeba elegijny poemat p. t. Wierzba (le Saule) i inne drobniejsze jak *Les voeux stériles*, wykrzyk dwudziestoletniego serca przepełnionego oburzeniem i goryczą. *Octave*, fragment namiętnych włoskich dziejów, traktujący zemstę obrażonéj włoszki wywartą na rywalce, za śmierć wspólnego kochanka. *Les secrètes pensées de Rafael, gentilhomme français.* Jestto zjadliwa satyra na wrogów poety, zarzucających mu brak myśli i nieznajomość stylu. Sama już ta odpowiedź, przepełniona prawdziwym dowcipem a napisana klasycznym francuzkim językiem, zdolną jest przygnębić zazdrosnych a—jakto zwykle bywa miernych.

..:Et vous libres penseurs, dont le sobre diner,
Est un conseil d'Etat,—immortels journalistes!
Vous qui voyez encore, sur vos antiques listes
Errer de loin en loin le nom d'un abonné!
. . . .
O vieux sir John Falstaff, quel riré eut sonlevé
Ton large et joyeux corps, gonflé de vin d'Espagne
En voyant ces buveurs troublés par le champagne,
Pour tuer une mouche apporter un pavé.

Wy którym chudy obiad jest ministrów radą,
Którym w starych regestrach, z poszóstną paradą
Jeszcze się może jakiś przedpłaciciel błąka,—
Dziarscy a nieśmiertelni kronikarze dzionka!
O sir Johnie Falstafie! tożby śmiech był szczery
Tyś okrągły, wesoły, trzeźwy od madery,

A tutaj od szampana popiły się zuchy
I dźwigają kamienie na zabicie muchy...

Wdzięczne są też wierszki: A Pépa, A Juana, Madame de Ménessier,—a Julie—a Laure—à mon ami Edouard B—a mon ami Alfred T.— „au lecteur" i dłuższy wiersz p. t. *Suzon*—niegodny tak wielkiego poety, cyniczniejszy od tego rodzaju utworów Woltera i Heinego,—a nie mający nawet wytłomaczenia piękności plastycznéj i formy kunsztownéj, jaką się Heine zawsze poszczycić może.

Do drugiego peryodu zaliczamy poemat *Namouna* (1832), *Rolla* (1833), Lucie (1835), La nuit de mai (1835), la nuit de décembre (1835), la nuit d'aout (1836), la nuit d'octobre (1827), Lettre a Lamartine, l'espoir en Dieu (1838) i Stances à la Malibran.

Namouna, poemat zbliżony treścią i formą do Mardocha, lubo żywszy odeń rozwinięciem i szlachetnością prowadzenia jako też skończonością wewnętrzną, rozpoczyna się szczegółowym, urozmaiconym a często umyślnie jakby przez igraszkę odbiegającym od przedmiotu opiseem bohatera, zwiącego się *Hassan*. I tutaj jak w *Mardoche*, Hassanem nie jest kto inny tylko sam Musset. Charakter jego złożony z samych przeciwieństw, i dla tego można go krótko nazwać *oryginałem*, a poglądy jego na kobietę zaprawione takim szyderczym sceptyzmem, że nie jeden ze skromnych czytelników gotów się chwycić za głowę. Gdy jednak mówi o miłości— chociaż miłość w Mussecie zawsze jest realną—trzeba się z nim pogodzić, tyle tam wdzięku w obrazowaniu, tyle swobodnego polotu, a mianowicie tyle kolorytu w opisie. Kończąc pieśń I tego poematu, usprawiedliwia się dla czego tak często odbiega od przedmiotu. Powtarzamy, że ten poemat mimowoli ciągle nasuwa pamięci Beniowskiego. W 2-giéj części Namouny znajduje się poetyczny a przepyszny opis Don Juana. Trudno znaleźć w jakiéj bądź literaturze równie trafną charakterystykę. Don Juan, typ którego począwszy od Tirso do Molina tylu się czepiało poetów i muzyków, czeka przecież w dramacie swojego Szekspira, ażeby osiągnąć głębokość na jaką, sądząc choćby z charakterystyki Musseta, z pewnością zasługuje. Kilkoma pociągami pióra, nakreślił Musset arcytrafnie postać tego Ahaswerusa miłości, który w ubieganiu się za ideałem, nieraz się zbrudził i krwią poplamił. Z téj prześlicznéj pieśni poznać że Don Juan to ulubiona postać poety—może dla tego, że obaj zginęli ze zbyt gorących... uniesień miłości; brakło tylko poecie tego chłodu jaki pozwolił Don Juanowi doczekać szronu na włosach. Dopiero w 3-części, wraca poeta do przedmiotu i do swego bohatera, skracając dzieje jego nieproporcyonalnie krótkie—nieproporcyonalnie szybko.

Najwspanialszym utworem A. de Musset, jest bez zaprzeczenia *Rolla*. Można go nazwać posągiem, wprawiającym w podziw plastycznością majestatu. Rolla wybucha ogniem szlachetnego oburzenia, zastanawiając się nad zepsuciem swego wieku. Młodzieńczy, nieznany prawie jeszcze poeta, nie waha się bożyszcza francuzkiéj literatury posądzić o współwinę w ogólném zepsuciu, i to w imię odwiecznéj zasady; moralności—przeciw odwiecznéj negacyi, wszystko kalającemu szyderstwu! Poemat składa się z pięciu części. Pierwsza odznacza się klassyczną pięknością, i jest jakby inwokacyą starożytnego świata w porównaniu z dzisiejszym. W drugiéj poznajemy się z Rollą. Jestto dziecię nowego wieku ze wszystkiemi przymiotami i grzechami — właściwemi stuleciu. W 3-ciéj części poznajemy Maryą, anielską dziewicę, którą ohydna matka sprzedała za złoto rozpustnikowi Rolli, który straciwszy cały swój majątek, chce trucizną kres życiu swemu położyć. W 4-téj części, zaczynającéj się od wsławionych słów: „Dors tu content Voltaire?" oskarża poeta Woltera, jemu przypisując winę zepsucia wieku. I Rolla— powiada, jest twoją kreaturą, on czytał ciebie, upodobał sobie, ty wydarłeś mu z serca ostatnią iskierkę wiary, więc też ze zbrodniczym spokojem przygotowuje się on do samobójstwa. Jakże musisz być szczęśliwym Wolterze, na widok tego nieszczęśliwego?!... Dla kogożeście pracowali, ślepi burzyciele, gdyście chrystyanizm zwlekli z ołtarzy?

„Vous vouliez pétrir l'homme a votre fantaisie;
Vous vouliez faire un monde. — Eh bien, vous l'avez [fait.

. . . .

Tout est bien balayé sur vos chemins de fer,
Tout est grand, tout est beau, mai son meurt dans votre [air.

Chcieliście nadać ludziom swych rojeń postacie,
Chcieli dźwignąć świat nowy—i otoż go macie...
Na waszych kutych sztabach pyłek nie osiędzie,
Wszystko tu wielkie, piękne, a śmierć zionie wszędzie...

A czyż te słowa nie dadzą się zastosować dzisiaj, czy się nie sprawdziły strasznie na własnéj poety ojczyźnie, a kto wie w jakim kraju i w jaki sposób sprawdzą się jeszcze.

„Vous y faites vibrer de sublimes paroles;
Elles flottent au loin dans les vents empestés.
Elles ont ébranlé de terribles idoles;
Mais les oiseaux du ciel en sont epouvantés.
L'hypocrisie est morte, on ne croit plus aux prêtres;
Mais la vertu se meurt, on ne croit plus à Dieu"

Wygłosiliście światu wspaniałe wyrazy,
Rozebrzmiały w powietrzu ciężkiém od zarazy,
Zwarły strasznym bałwanom ich paszczękę wilczą,
Lecz i ptaszki niebieskie z przerażenia milczą;
Obłuda leży martwa, kler upada stary,
Lecz i cnota umiera, i brak w Boga wiary.

Piąta część, zakończa ten mały społeczny dramat. Rolla czując się blizki śmierci porwany jest tęsknotą—otwiera okno, pierwsze promienie wschodzącego słońca olśniewają go blaskiem. W pobliżu przejeżdżający śpiewacy, śpiewają stare pieśni. Ach! przypominają one pierwszą młodość i błogosławione chwile! Wszakże i Rolla miał matkę która go nauczyła modlitwy, i jego głowę osłaniał kiedyś Anioł-stróż białém skrzydłem. *(d. c. n.)*

RAMUŁTOWIE.

Powieść współczesna

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 84).

IV

— Jaka ty jesteś złośliwa! powtórzyła babcia śmiejąc się — pfe! moja Lelciu, powinnabyś się wyspowiadać.

— Cóż po tém kiedy jutro znowu, gdy śmieszność znajdę, nie wytrzymam, bym się z niéj nie śmiała, zawołała Lelia.

— No! to już ja tego nie chcę... wstając odezwała się babcia. Jednakże mam zaległe modlitewki, pójdę za ciebie Pana Boga przepraszać, a wy z Hanną, coście się tak dawno nie widziały szczebioczcie.

Pocałowała w głowę Lelię.

— Tylko mi Hanny nie psuj!

— Moja babciu, Hanny nikt nie popsuje, prędzéj ona kogo poprawi—odezwała się Lelia całując w rękę babunię.

Przyjaciółki po wyjściu jéj uściskały się znowu, a Lelia popatrzała na Hannę długo i zawołała:

— Tyś mi jeszcze wyładniała—ale, jakżeś się zrobiła poważna! pfe! udajesz starą! to się nie godzi.

— Czuję się tak... westchnęła Hanna; a chwilami chciałabym być jeszcze starszą, ażeby od uciążliwych obowiązków młodości się uwolnić!

— Moja Hanko! coż też ty wygadujesz! Jeszczem jak żyję nie słyszała o uciążliwych obowiązkach młodości, musisz mi je wytłómaczyć.

— Tyś tak domyślna, że je odgadniesz—zaśmiała się smutnie Hanna. Trzeba się stroić, chodzić, pokazywać, być wesołą kiedy się niechce, tańcować i bawić się gdy się czuje smutną: nie sąż to uciążliwe obowiązki młodości? Na wsi jeszcze się prędzéj od nich można uwolnić, ale w mieście?

— Na długoście przybyły do miasta?

— Ja nic nie wiem, i babcia nie mówi jak zabawić myśli, jest pełna tajemnic na ten raz... Skarży, się że chora, że jéj tutejszy stary doktor M., najszczęśliwiéj pomaga... ale...

Hanna zniżyła głos i spojrzała na Lelię.

— Rozumiem, poczęła przyjaciołka—mają jakieś projekta dla ciebie—albo chcieliby, żeby się im nastręczyły

— Być może mówiła Hanna, ciężę ojcu, ciężę kochanéj babci, chcieliby się mnie pozbyć co prędzéj... Rozumiem i wierzę iż pragną mojego szczęścia—tylko nie pojmuję żeby go tak na gościńcu szukać można...

Spuściwszy głowę, jakiś czas Hanna i Lelia, która usiłowała nadaremnie coś z jéj oczu wyczytać, chodziły po salce... obie dosyć posępne.

— A ty czy długo tu być myślisz? zapytała Hanna.

— Mówiłam ci jestem dla brata... pobędę aby aby się z nim nacieszyć, a razem muszę mu zapewnić szczątki majątku, który mi się udało dla niego ocalić. Jak to potrwa długo, doprawdy oznaczyć nie mogę... radabym póki wy jesteście, nie wyjechać...

Rozmowa tak przerywana trwała jakoś się nie klejąc. Hanna była widocznie nie swoja, pytania na ustach jéj zamierały, w ożywionéj mowie nagle coś zdawało się wstrzymywać jéj dokończenie. Dopiero siadłszy na kanapce w kątku, gdy po cichutku z sobą szeptać zaczęły—pewne, że nikt ich nie dosłyszy, ożywiły się i zapomniały tak że nie postrzegły nawet, gdy pan Aleksander wślizgnął się cicho i stanął przed niemi.

Zobaczywszy go Lelia z okrzykiem wstała z kanapki. Łysy adonis już pochwycił białą jéj rączkę i wyciskał na niéj rumianych warg swych pieczęci, oczy i policzki śmiały mu się z radości... Zapomniał nawet owego strachu, z którego się spowiadał przed Dołęgą, cały przejęty rozkoszą widzenia swéj ślicznéj Lelki, do któréj tak nieszczęśliwą miał słabość. Patrzał jéj w oczy, a okrągła twarz jego, po dobrém śniadaniu, pod wrażeniem czaru niewieściego i dobrego wina, nabierała wyrazu starożytnego Satyra, który Nimfę zastał w kąpieli. Nie spojrzał nawet na rumieniącą się za niego Hannę.

— O! jakże, jakże mi pani moja cudownie

wyglądasz! zawołał głośno... co za świeżość! jakie czarujące wdzięki! Jakżem rad, że panią tu widzę!... Śliczności moje!

Lelia śmiała się do rozpuku i to jakoś wielkie zapały Olesia obracało w żart na szczęście.

— Pani wie, mówił, że ja byłem, jestem i będę do zgonu jéj adoratorem...

— Nic o tém nie wiedziałam, śmiejąc się odpowiedziała Lelia — lecz od dziś dnia zapisuję go na listę i wciągam do szeregów... Tylko pomnij pan, że to ciężkie wkłada obowiązki!

Na komplementa te weszła, głos posłyszawszy, babcia.

— O! o! wołała ode drzwi, już Oleś w adoracyach dla Lelki... A! stary, stary, że też ty się nigdy nie poprawisz!

Odskoczył pan Aleksander trochę zmięszany, biegnąc całować ręce staruszki, która mu dała klapsa.

— Pfe! cóż to za bałamut z asana! całą noc na hulance, cały ranek gdzieś lata, a teraz zastaję w umizgach do wdówki. Na pokutęby cię zasadzić należało... Gdzieżeś był?

— Babciu dobrodziejko — zaczął się tłómaczyć Junosza: wczoraj mnie Ramułt pochwycił —dobre jakieś serdeczne chłopczysko, drzwi na klucz pozamykali i nie było sposobu wyjść.

Babka głową kiwała.

— A tobie w to graj.

— Dziś chodziliśmy z Dołęgą po—po sprawunki... Co się tycze przywitania dawnéj naszéj sąsiadki, w tém grzechu nie widzę...

Jeszcze się tłómaczył, gdy służący wszedł oznajmując hrabiego Ramulta. Usłyszawszy to nazwisko, Lelia chciała się wycofać z Hanną, babka nie puściła, Oleś wyszedł ku drzwiom na przyjęcie gościa, poprawiając trochę włosów rozpierzchłych po łysinie.

— Ty go znasz? zapytała Hanna Lelii.

— Widziałam go z daleka tylko, choć niby mój brat przyrodni, nie był ciekaw mnie poznać bliżéj, jam też nie śpieszyła. On jest hrabią Ramułtem, a ja i Sylwan proste sobie biedaki.

Domawiała tych słów po cichu, gdy wyświeżony i wyelegantowany młodzieniec, w paliowych rękawiczkach, z głową świeżo od fryzyera, w surduciku leżącym jak ulany, w lakierowanych bucikach, ukazał się w progu z pańsko pogardliwie-grzeczną minką, znudzonego swą wielkością człowieka.

Przywitali się po wczorajszéj znajomości u wieczerzy, jak starzy przyjaciele z serdecznym dla wszystkich Olesiem, który natychmiast przedstawił hrabiego starościnéj, swéj córce i... nie wiedząc co ma uczynić z Lelią, rzekł:

— Państwo zapewne znajomi...

Lelia odwróciła się szybko—Herman począł się jéj przypatrywać zdziwiony, jakby po raz pierwszy z blizka ją zobaczył, i zmieszany rzekł:

— Wszak pani jest siostrą brata Sylwana... a zatém i moją...

Lelia nic nie odpowiedziała.

— Miło mi, że mogę się jéj przedstawić.

Po tém szybkiém *intermezzo*, począł rozmawiać Herman za staruszką, ale oczu z siostry przyrodniéj i Hanny nie spuszczał. Hanna ani nań spojrzała prawie.

Spędziwszy kilka chwil około starościnéj, widocznie chciał Herman zbliżyć się do młodych pań, lecz Oleś swą niezmierną grzecznością pokrzyżował jego zamiary... Z pierwszą wizytą niepodobna było bawić długo... Ramułt mając zaledwie czas przemówić kilka słów do Hanny, która mu bardzo zimno na nie odpowiedziała... ukłonił się i począł żegnać.

— Pani starościna pozwoli, rzekł, aby jéj matka moja złożyła uszanowanie. Jest to jéj gorącém życzeniem...

Wymieniono jeszcze kilka słów grzecznych i na tém skończyła się ceremonialna wizyta. Oleś odprowadzał go aż do sieni i słychać było długie ich wesołe śmiechy.

— Bardzo ładny chłopak! odezwała się staruszka do Lelii i Hanny; nie prawdaż?

— A no — lalka, tylko już bez rumieńca i świeżości—poczęła wdówka;—żal mi tego braciszka... jakoś mu źle z oczu patrzy, choć ma ładne oczy...

— Trzebaby go widzieć przy wieczerzy w kawalerskiém towarzystwie—przerwał Oleś, który wszedł na te wyrazy; *c'est le convive le plus aimable, le plus animé qu'on puisse imaginer.*

Przymiot ten zwykle mało przez kobiety ceniony, nie podniósł go podobno w ich oczach; spojrzały po sobie i zamilkły.

V.

Byli niegodziwi ludzie którzy utrzymywali, że Viola, ulubienica publiczności, którą obrzucano bukietami ilekroć występowała na scenę—przez rodzaj pychy z ubóztwa, mieszkała na poddaszu; bliżéj znający ją zaręczali, że nie stawało jéj na lepsze pomieszkanie. Sławni artyści po wielkich stolicach—obsypywani złotem, opływają nietylko w dostatki, ale nawet we wszystko co najśmielsza wyobraźnia wyroić sobie może. Popsute dzieci sławy, często kroć dziwaczyć muszą, aby przesyciwszy się wszystkiém, nie umierać z nudów. Tym talentom wybranym wady ich nawet cenią się i opłacają jak najcenniejsze przymioty.

Życie artysty prowincyonalnego teatrzyku wcale nie jest tak rajskim zawodem; a choć w nim czasem jaśniejsza błyśnie chwilka—płaci się ona długiemi dniami doskwierających niedostatków, walki i boleści. Olbrzymi talent zaledwie podołać może temu zadaniu nad siły człowiecze. Tu słuchacze są chciwi nowości, i nie artystycznego wykończenia wymagają, ale saméj *fabuły*, bawi ich nie pędzel mistrza, ale jaskrawo nałożona barwa i wydatne ruchy, a jędrne słowo. Nie obchodzi ich gra i tajemnicza zagadka Hamletowego charakteru... raz tylko chcieliby zobaczyć jakiego takiego Hamleta, jutro Romea, pojutrze Zbójcę Szyllera, Maryę Stuart, a na ostatek Pumpernikla, byle nie Hamleta *da capo*. Nie jest to ta publiczność smakoszów, która każdy ruch ocenia i nad każdém lubuje się słowem,— ale parter głodny co klaszcze wyrazistości, śmieje się szczególniéj z gestów rubasznych i smakuje w tłustém słowie... Jemu potrzeba coraz coś świeżego a zmiennego. Radby mieć wszystko i za tanie pieniądze... Dla zwabienia go muszą być czerwone afisze, poczwarne tytuły i bodaj, bodaj bębnienie u drzwi z piszczałką. Co mu po takiéj komedyi, w któréj dwie osoby siedzące u stolika, dramat serdeczny w kilku cichych wypowiedzą słowach? On ziewa... jemu trzeba akcyi, a akcya dla niego to podstawienie nogi i grzmocenie kijem po grzbietach... Od pań wymaga, ażeby się krótko stroiły, bo mu się też coś i nóg aktorek należy, żeby jak najmniéj miały wstydu, a jak najwięcéj cynizmu... Takie są wymagania znaczniejszéj części prowincyonalnych publiczności... Tu teatr jest starą biedą i nędzą, o któréj jeszcze Scarron pisał... a aktor *clownem*, który dziś zabijać się musi w tragedyi, a jutro grać rolę arlekina.

Jeżeli w téj gromadzie cygańskiéj zbieranéj po gościńcach na włóczędze bez celu, znajdzie się istota z czuciem, z talentem, z sercem a duchem—cóż ona tu wycierpieć musi!

Jaki był los owéj pięknéj Violi, którą niedola wykształciła na wielką artystkę, a ubóztwo nie dało jéj przestąpić koła, po za którém znalazłaby uznanie talentu i nagrodę? Zmuszona dzielić losy towarzyszów, grać na prędce improwizowane role przed improwizowaną też publiką—nagradzana tak, aby z głodu nie umarła—nie umiejąc poniżeniem zyskiwać ulgi, wiodła najtragiczniejsze życie jakie sobie wystawić można. Grała ona od dziecka (ojciec ją rzucił na scenę nieposzanowawszy lat najmłodszych), ocierając się o ludzi zepsutych, zgorzkniałych, przekonanych, że tego co zepsuć się musi prędzéj czy późniéj... oszczędzać nie ma potrzeby. Lecz wśród tych wpływów rażących cynizmem, Viola, z obrzydzenia może życia, które się jéj od dziecka tak boleśnie czuć dawało, pozostała wyższą nad to, co ją otaczało, czystą w duszy i godną poszanowania. Śmiano się rubasznie z téj cnoty, którą nazywano rachubą, ale dziewczę ani na szyderstwa, ani na obelgi, ani na słodkie słowa nie zwykło było odpowiadać.

Sama jedna, rzadko komu dając się zbliżyć do siebie—pracowała, instynktem czując że idzie drogą z któréj ustąpić nie powinna. Młoda piękna, nieprzystępna, na scenie artystka niezrównana, wystawiona była na nieustanne napaści wielbicieli z grona współtowarzyszów i widzów, ale jéj to bynajmniéj nie poruszało—dawała im odprawę z krwią chłodną, z pogardą lub obojętnością pańską.

To postępowanie dawnoby ją było mogło wyrzucić z teatru, wśród którego miała nieprzyjaciół zawziętych, ale bez niéj teatr obejść się nie mógł. Ona jedna w nim była prawdziwą, natchnioną, namiętną artystką. Najwięksi nieprzyjaciele musieli jéj przyznać ten ogień święty, którego napróżno w sobie szukali. Grała z równém przejęciem się najmniejsze i największe role, młode i stare... a cudowny instynkt dozwalał jéj zgadywać odcienie, barwy, mimikę, które wywoływały u najobojętniejszych oklaski. Pomimo tych powodzeń na scenie, uboga truppa nie była w stanie jéj opłacać tak, aby spokojnie sztuce oddać się mogła, a Viola nigdy nie przyjmowała żadnego daru od nikogo, życie więc było tak ciężkie jak wyrobnicy—z tém jeszcze iż natarczywym miłościom płochéj młodzieży trzeba się było nieustannie oganiać.

Złota młodzież nie pojmowała, nie wierzyła, nie rozumiała, by artystka śmiała być tak surową, tak dumną i tak nielitościwie odpychającą.

Dla zabezpieczenia się od natrętów, sierota przygarnęła do siebie starego suflera z żoną, dwoje biednych a uczciwych ludzi, którzy dla niéj stanowili zasłonę i obronę. Sufler, który niegdyś występował na warszawskiéj scenie, o czém bardzo opowiadać lubił, nie tłómacząc się dokładniéj, jakie *intrygi* dalszych go na niéj pozbawiły sukcesów,—oprócz nadzwyczajnéj zarozumiałości i nieubłaganéj krytyki, któréj się dopuszczał na swych kolegach, nie miał wybitnych wad innych. Zażywał tabakę, perorował, doznawał niekiedy dystrakcyi (nigdy jednak pełniąc swe obowiązki urzędowe) czasami lubił lampeczkę wina (nigdy kieliszkiem go nie pił), a był przytém bardzo znośnym i swéj panienki żarliwym wielbicielem i obrońcą. Jejmość, vulgo pani Pawłowa Szerszeniowa, cicha kobiecina na palcach chodziła przed nią. Oboje ich zmuszona utrzymywać, Viola ledwie skromną pensyjką sobie starczyła, a że za benefisem nie jeździła nigdy i nie narzucała się sama, nie przynosił on jéj też tyle co innym zabiegliwym artystkom.

(*d. c. n.*)

KORESPONDENCYA.

Poznań w październiku. 1872 r.

Jeżeli lato ubiegłe, w ostatnich zwłaszcza tygodniach swego istnienia, przedstawiało na bruku naszym poznańskim obraz opustoszenia i wyludnienia, wynagradza nas początek wielce łaskawéj i łagodnéj jesieni niezwykłym jeszcze o téj porze ruchem i życiem. Nie mówię tu o ruchu i życiu zewnętrznem, objawiającém się ku utrapieniu przechodniów i przejezdnych sztukiem rydli i młotów, stosami zawalających ulice cegieł i szkieletami opasujących nowe budowle rusztowań, lecz o owém życiu wewnętrznem, skupioném, zmierzającém z jednéj strony do utrwalenia i ubezpieczenia tutejszego rodzinnego bytu, z drugiéj strony dającém już skuteczne i pocieszające jego objawy. Zaczniemy w tym względzie lustracyę naszą od prozy codziennego życia, od instytucyj finansowych, do których w społeczeństwie naszém szczególny objawia się pochop, a które dotąd nadspodziewanego doznają powodzenia. W pierwszym rzędzie winniśmy tu zapisać sprawę *Banku włościańskiego* zawiązanego już i ukonstytuowanego w Towarzystwo akcyjne aktem notaryalnym z miesiąca kwietnia r. b. Komitet tymczasowy zostający pod przewodnictwem adwokata Lewandowskiego, zajął się przez ten czas urządzeniem agencyi banku, odbierał podpisy na akcye nietylko na prowincyi, ale nawet i nie bez skutku w Galicyi i Francyi, a zainteresowawszy w ten sposób publiczność dla nowo-powstającéj instytucyi, zwołał walne zebranie na dzień 7 października do Hotelu Francuzkiego w Poznaniu, na którém wreszcie *Bank włościański* z fazy genetycznéj przeszedł w faktyczną fazę rzeczywistego istnienia. Główna w téj mierze zasługa należy się Janowi hr. Działyńskiemu, który się zobowiązał uzupełnić kapitał zakładowy rozpoczynającego działalność swą banku z własnych funduszów do summy 200,000 talarów, a nadto przyjął stanowisko męża zaufania i organizatora banku.



Roślinność nad Amurem.

Pisma publiczne ogłaszają już odezwę nowego organizatora do publiczności, oświadczającą, iż wszelkie czynności zmierzające do rozszerzenia zakresu pomienionéj instytucyi, będzie załatwiał za pośrednictwem tutejszego banku Kwileckiego i Spółki. Równocześnie niemal ogłasza w osobnych odezwach komitet urządzający złożony z kilkunastu osób ogólnego szacunku i zaufania, zawiązanie się banku wzajemnych zabezpieczeń na życie, pod nazwą *Westy*. Komitet ten oznajmia, iż władze królewskie nadesłały już potwierdzenie zakommunikowanych sobie ustaw, a że teraz do uzyskania sankcyi królewskiéj i praw korporacyjnych potrzeba Towarzystwu wykazania kapitału 200,000 talarów, z których 50,000 talarów należy okazać w gotówce, resztę w wekslach. By dojść do tego pożądanego celu, ogłasza tedy komitet urządzający emissyę 2,000 akcyj po 100 talar. wzywając publiczność do jak najenergiczniejszego udziału. Rozesłana przez komitet urządzający odezwa ręczy zarazem za pewność, a nawet za zyskowność nowo powstającéj instytucyi, która oparta na wzajemności, daje 5% od powierzonych jéj kapitałów, a nadto przeznacza 4% przewyżki swych dochodów na dywidendę dla właścicieli certyfikatów. Po rezultatach dotychczasowych, nie ma najmniejszéj wątpliwości, że i towarzystwo *Westy* znajdzie u nas powodzenie, wypełniając nader pożądanie szczerbę, jaka istniała w organizmie naszego życia publicznego przez zbywającą nam jeszcze instytucyę zabezpieczeń u siebie w domu i na miejscu. Nawiasowo powiedziawszy, byłoby nader pożądaną rzeczą zespolić ową nową instytucyą, skoro już istnieje i skoro przedstawia warunki życia, z podobnąż instytucyą zabezpieczeń od gradu i ognia. Byłoby to tém bardziéj na czasie, iż wszyscy niemal właściciele



Powrót z Jarmarku.

ziemi u nas znajdują się, jak inaczéj być nie może, w konieczności zabezpieczania się w Towarzystwach niemieckich, niekiedy, choć bardzo rzadko, angielskich. Główny przecież odbyt pod tym względem mają Towarzystwa zabezpieczeń w Schwedcie, Magdeburgu i Kolonii. Kapitały nasze wędrują więc w ten sposób rok rocznie za granicę, wracając do kraju w rzadkich stosunkowo razach, kiedy się wydarzy przypadek wynagrodzenia szkody. Na czasie więc, powtarzamy, byłaby instytucya nie ograniczająca się tylko na zabezpieczeniu życia, lecz sięgająca także w sferę zabezpieczeń od ognia i gradu.

Postępując daléj w naszym przeglądzie finansowych instytucyj, ogarniających przecież, jak bardzo naturalnie, różne inne czynniki i szczegóły życia z organizmu naszego narodowego, mających zasługę zatrudnienia i pomieszczenia licznego zastępu młodych ludzi, którzyby w niedostatku ich marnieli na miejscu lub byli w smutnéj konieczności opuszczenia kraju,—spotykamy się także prawie równocześnie z tak zwanym sejmikiem *Spółek zarobkowych*. Sejmik ten odbył się w tutejszym lokalu Towarzystwa Przemysłowego na ulicy Wrocławskiéj. W szczegóły jego parlamentarne nie pozwalają nam wdawać się rozmiary naszéj korrespondencyi. Tyle tylko jako rzecz ważną a pełną przyszłościowéj doniosłości zauważyć należy, iż nie ma żadnéj, choćby najmniejszéj mieściny W. Księztwa Poznańskiego, któraby nie miała swéj kassy oszczędności i swéj spółki zarobkowéj; nadto, jak widzimy ze sprawozdania statystycznego patronatu spółek, dążność zakładania podobnych stowarzyszeń poczyna ogarniać w nierzadkich już teraz przypadkach i ludność wiejską.

Ważna też na pomienionym sejmiku zapadła uchwała, by istniejące już spółki, wszędzie, gdzie tego uznają potrzebę, zakładały biblioteki ludowe.

Powstał też z dniem 1 października i założył swe biuro na pierwszém piętrze gmachu Bazarowego Bank rolniczo-przemysłowy pod firmą Potworowski, Małecki, Plewkiewicz i Spółka, którego umiejętny i zręczny zarząd także dobre rokuje powodzenie.

Powstała wreszcie także z dniem tym, *si parva magnis componere licet*, i by z wielkiéj sfery finansowéj przejść na poziom małego, choć użytecznego przemysłu, piekarnia wiedeńska w Poznaniu na obszerniejsze rozmiary... Słowem, jak ztąd widzicie, nie próżnują u nas finanse, handel i przemysł, podstawa bytu i życia w naszéj szczęśliwéj, błogosławionéj postępem i cywilizacyą epoce.

Zwróćmy się teraz w stronę ruchu i życia umysłowego. Tutaj wypadnie nam zwrócić przedewszystkiém uwagę na nasze *Towarzystwo Przyjaciół Nauk*. Stwierdza się na niém prawda starego przysłowia: *Nie ma złego coby na dobre nie wyszło*. Wdzięczność niemieckiego magistratu miasta Poznania, który udarowany przez ś. p. Edwarda hrabiego Raczyńskiego zasobną biblioteką i wspaniałym gmachem bibliotecznym uznał za rzecz najstosowniejszą podziękować darodawcy w czterdzieści lat później eksmissyą jego wnuka z darowanego lokalu,—wyszła wypędzonemu razem z nim Towarzystwu Przyjaciół Nauk na dobre. Nasamprzód zaczęto na pokrycie kosztów nabycia lub wystawienia nowego dla zbiorów jego gmachu obmyślać fundusze, które drogą składek przyniosły kapitał 5000 talarów. Nadto co ważniejsza, znalazł się w osobie Seweryna hr. Mielżyńskiego z Miłosławia dobroczyńca, który zakupił na ulicy Młyńskiéj dom pod Nr. 17, dla pomieszczenia pięknéj biblioteki, zbiorów sztuki i przedmiotów archeologicznych Towarzystwa. Zakupiony dom ma być nadto powiększony znacznie przez nowe przybudowania i posiadać osobną pracownię malarską. Dotąd mieściły się jak wiadomo, zbiory wypędzonego z gmachu *Biblioteki Raczyńskich* Towarzystwa, na drugiém piętrze gmachu Bazarowego. Od dnia 1 Października przenoszą się powoli do własnego domu na ulicę Młyńską. Otoż dobre następstwo złego czynu i smutnego, jak się mogło wydawać z razu, wypadku. Co się tycze naukowéj działalności Towarzystwa, odpoczywała ona jak zwykle przez cały ciąg letniéj pory. Już po letnich feryach przecież odbyło się jedno posiedzenie wydziału nauk historyczno-moralnych, na którém jeden z członków Towarzystwa odczytał rozprawę historyczną *O czynnościach politycznych i rokowaniach dyplomatycznych po bitwie kliszowskiéj r. 1702*. Zresztą cisza u nas w życiu literackiém; a cała na tém polu działalność koncentruje się w czasopiśmiennictwie, dość bezpłodném zresztą pod względem naukowym i belletrystycznym. Dla dokładności kronikarskiéj zapisać przecież należy niektóre z téj niekoniecznie pocieszającéj reguły wyjątki. Do takich zaliczymy piękny pod względem typograficznym. obfity interesującą treścią, wydany nakładem księgarni Żupańskiego, *Rocznik Towarzystwa historyczno literackiego*, którego główną ozdobą jest ogłoszona po raz pierwszy z rękopismów korrespondencya Stanisława Augusta. Wyszły daléj w sporym zapowiadającym ciąg dalszy tomie nakładem księgarni Merzbacha *Teorye polityczne XVI w.* dr. Władysława Ołędzkiego. Pod prassą daléj znajduje się nowy tom *Roczników* naszego Towarzystwa przyjaciół nauk i trzeci tom wychodzący nakładem Żupańskiego, przetłumaczonych na język polski *Pamiętników Michała Ogińskiego*. O innych kalendarzowych publikacyach nie ma powodu rozpisywać się szeroko, témbardziéj że te wszystkie nasze kalendarze czy to *W. Ks. Poznańskiego*, czy *agronomiczne* poznańskie, czy *Majstra od przyjaciela ludu*, czy też *Sierpa-Polaczka* chełmińskie, nie są ani treścią ani formą, w niczém podobne do warszawskich kalendarzy Jaworskiego lub Ungra.

W rubryce bieżącéj literatury naszéj należałoby też zresztą jeszcze zapisać ubytek, jaki nasze Towarzystwo Przyjaciół Nauk ponosi przez wyprowadzenie się swego wice-prezasa i przewodniczącego wydziału nauk historyczno-moralnych, p. Stanisława Koźmiana (znanego zaszczytnie tłómacza Szekspira), z Poznania na kilkoletni pobyt do Drezna. P. Stanisław Koźmian miał znamienite zasługi około podniesienia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, około zainteresowania się niém publiczności, około ożywienia jego słabnącego ruchu i opuszczającéj się czynności. Ubytek jego da się tedy Towarzystwu tém silniéj uczuć, iż chwilowo nie wiemy i nie widzimy odpowiedniéj osobistości któraby go na zajmowaném stanowisku była zdolna zastąpić.

Pozostaje nam teraz zwrócić się w dziedzinę miejscowéj sztuki, któréj *alfą* i *omegą* jest w niedostatku wystaw obrazów, stowarzyszeń muzycznych, koncertów amatorskich, bo na inne *codziennego* autoramentu nas nie starczy,—*teatr*. Rozpoczynając rzecz o nim, winniśmy przedewszystkiém wzmiankę jego mającemu tu stanąć gmachowi. Otoż gmach ten, na którego wzniesienie fundusz już zebrany a przynajmniéj zabezpieczony, — ma pono już być rozpoczęty w ciągu roku bieżącego, a budowa jego powierzona znakomitemu i wielce uzdolnionemu architektowi p. Gorgolewskiemu, bawiącemu obecnie w Berlinie. Za błąd nieprzebaczony poczytać przecież należy komitetowi teatralnemu, iż zamiast wznosić gmach teatralny na obszernym wolnym ze wszech stron, przestronnym należycie placu, jaki się przedstawiał w darowanym mu ogrodzie Potockiego, uważał za rzecz potrzebną sprzedać ów ogród, a uwięzić przyszły gmach teatralny na ciasném podwórku i w ciaśniejszym niemal jeszcze ogródku pewnéj kamienicy na ulicy Berlińskiéj, gdzie choćby najwspanialszy budynek ani dobrze wydać się niemoże, ani dostatecznie obszerny nie będzie. Tyle o gmachu naszego przyszłego teatru, na który nadszedł już przecież szczęśliwie konsens policyjny, którego budowa niebawem ma się rozpocząć, któremu przecież pragnąc gorąco być fałszywymi prorokami, ze względu na wybór miejsca zbyt świetnéj przyszłości nie rokujemy.

Teraz słów kilka tylko o teatrze jakim się obecnie cieszymy. Były dawniéj długie lata, kiedyśmy polskiego teatru w murach Poznania nie mieli wcale. Od r. 1866 mieliśmy go ciągle, co rok przynajmniéj, bardzo dobry *krakowski*, różnéj wartości, ale ciągły *miejscowy*. Przykra była nam tedy trzech-miesięczna blizko pauza po wyjeździe teatru krakowskiego w roku bieżącym. Przyszła nam więc bardzo w porę gotowość p. Zygmunta Sarneckiego, który zyskawszy pozwolenie ze strony władzy administracyjnéj i zawarłszy ciężki, jak wszyscy poprzednicy jego, kontrakt z dyrekcyą tutejszego niemieckiego teatru, rozpoczął z dniem 1 Października przedstawienia swego towarzystwa. Dotychczas mieliśmy dopiero trzy reprezentacye, *Cudzoziemczyznę* Fredry, *Fiamminę* i *Poświęcenia* Narzymskiego. Początek ten nie pozwala jeszcze wydać sądu o siłach, zasobach i talentach artystycznych sprowadzonego przez p. Sarneckiego towarzystwa. Potrzeba na to dłuższego artystów pośród nas pobytu i liczniejszych prób z ich strony. Czegobyśmy sobie przecież życzyli, to liczniejszego udziału publiczności, która pragnęła teatru, póki go nie było, która się okazuje chłodną, gdy teatr jest, która wreszcie przez udział swój może teatr zrobić dobrym, choćby nawet początkowo był słaby. W tych dniach zawitał też do nas na 2 koncerta z całém swojém towarzystwem Monbellich, Franchich, Sivorich, Joseffich, znany przedsiębierca koncertowy Ullman. Dobór podobnych artystów połączony z umiejętnie ułożonym programem, ściągnął, jak łatwo pojąć, ogromny tłum wszechnarodowéj publiczności do sali Bazarowéj. Bohaterami najsympatyczniejszymi tych koncertów byli panna Monbelli i znakomity fortepianista Joseffy. Sivori jest niezaprzeczenie znakomitym technikiem, nie może się jednakże, co rzecz nie całkiem obojętna dla występującego publicznie artysty, poszczycić przymiotem *sympatyczności osobistéj*.

PRZEGLĄD LITERACKI.

PAN GRABA.

Powieść p. Elizy Orzeszkowéj.

Pytanie czy jest jakie stałe kryteryum do oceny powieści, téj najswobodniejszéj formy, jaką tylko posiada literatura? Z roli naszéj wypada nam odpowiedzieć, że jest, bo w przeciwnym razie na cóżby się zdało pisać recenzye, albo i studya krytyczne? Ale najprzód co to powieść sama? Dla ściślejszego jéj określenia użyjemy maleńkiego porównania, a raczéj przeniesiemy pewną prawdę naukową z jednéj sfery do drugiéj. Uczeni zajmujący się naukami przyrodzonemi twierdzą, że w naturze, tak między gatun-

kami pojedynczych królestw przyrody, jak nawet i między samemi królestwami nie ma przeskoków nagłych, ale istnieją pewne formy przechodnie, stojące na granicach i stanowiące niejako ogniwa, z pomocą których pojedyncze królestwa stanowią całość stworzenia. Otoż stawiamy kwestyę, czy podobne formy nie istnieją i w zakresie twórczości ludzkiéj, i czy podobném ogniwem między sferą twórczości artystycznéj a sferą twórczości naukowo-społecznéj nie jest właśnie powieść, a najwybitniéj powieść tendencyjna? Niepodobna nie przyznać, że dzisiejsza zwłaszcza powieść, jeżeli z jednéj strony zachowuje artystyczną formę, to z drugiéj, służąc pewnym celom niekoniecznie artystycznéj natury, występując jako środek działania na umysły ludzkie, podnosząc często bardzo poważnie najżywsze kwestye społeczne, dotykając najpoważniejszych zagadnień, chyli się stanowczo ku ściślejszéj dziedzinie społecznéj. Wypada z tego, że powieść tendencyjną można uważać niejako za broszurę o artystycznéj formie, dowodzącą pewnych zasad w sposób plastyczny, to jest na przykładach z życia wziętych. Jest to niby szyba wody, w któréj odbija się rzeczywistość; odbicie to jednak nie jest tylko biernėm, bo pojawia się w niém pewna celowość t. j. organiczność uwarunkowana osobistym poglądem autora. Ale właśnie niezmierna owa jak w życiu samém różnostronność treści, nie dość ściśle oznaczona granica możliwości i nakoniec osobisty pogląd autora utrudniają nieskończenie krytykę.

Mimo tego, powiedzieliśmy już, że jest ona możliwa; wypada to z samego określenia powieści. Jeżeli zgodzimy się uważać powieść za broszurę społeczną o artystycznéj formie, to przystaniemy i na to, że cenić ją należy: 1° ze stanowiska artystycznego (wartość artystyczna), i 2° ze stanowiska społecznego (wartość społeczna).

Ale wartości te, a zwłaszcza druga (społeczna) zależą prawie wyłącznie od osobistego autorskiego poglądu, dla którego oceny, nie dość zapewne przeciwstawić swój własny. Na to nie ma chyba innéj rady, tylko ażeby krytyk przedstawiał zdrowy rozsądek większości—od którego dozy będzie znów zależna powaga saméj krytyki.

Zatém wartość estetyczna i wartość społeczna powieści, brane na miarę zdrowego rozsądku ogółu—oto pierwotne i główne zasady krytyki powieściowéj. Należy tylko rozwinąć szczegóły które nie będą już niczém nowém. Powieść zadość czyni wymaganiom estetycznym jeżeli odpowiada warunkom piękna, prawdy i dobra—warunkom społecznym, jeśli ma na celu pożytek społeczeństwa.

Dobro ze stanowiska estetycznego i pożytek społeczny nie są rzeczą tak dalece jedną, jakby to się na pozór zdawać mogło. Przez dobro rozumiemy te odwieczne, wrodzone i wszystkim dobrze znane wymagania moralne, na mocy których, czujemy zadowolenie ze zwycięztwa cnoty a ukarania występku—pożytek zaś ma na celu pewne czasowe potrzeby społeczeństwa, uwarunkowane i stanem i okolicznościami w jakich się społeczeństwo znajduje. Taka jest różnica po któréj ukazaniu możemy powrócić do przedmiotu głównego. Zatém ustalone zasady krytyki powieściowéj są: 1° wartość estetyczna z trzema kategoryami: piękna, prawdy i dobra—i 2° wartość społeczna z jednym tylko podziałem: pożytek.

Krytyczna ta siatka zarówno może być stosowana do utworów większych rozmiarów, jak i do drobiazgu powieściowego, którego tak obfity połów można znaleźć w naszéj prassie peryodycznéj. Tym razem, ku wielkiemu naszemu zadowoleniu, wpada w nią dość znaczna ryba—„Pan Graba."

Przedewszystkiém więc zwrócimy uwagę na zewnętrzną formę powieści pani Orzeszkowéj. Autorka włada pięknym stylem i umie obrazowo wyrażać swoje myśli. Dowody na to złożyła w wielu poprzednich swych utworach, gdzie nawet więcéj bywało stylistyki niżeli czego innego. W ogóle kobietom łatwo przychodzi forma. Ale forma stoi w bezpośredniéj zawisłości od treści; można rzec nawet, że każda odrębna treść ma sobie właściwą, odrębną a przyrodzoną formę, w któréj jedynie daje się wyrazić dokładnie. Trafienie na najwłaściwszy ton, czyli jak kto chce, nutę, dla danego przedmiotu, stanowi nieraz o powodzeniu utworu, a łatwość trafiania na ową nutę może być poczytana za miarę talentu. W powieści p. t. Pan Graba, akcya rozgrywa się na bruku miejskim, między ludźmi, których namiętności, chociażby najżywsze, miarkowane konwenansem, szukają słów zgodnych z wymaganiami i tonem ich towarzystw. Takie warunki wymagają stylu wykwintnego, który tém jest trudniejszy, że mimo wrodzonéj sobie komunistycznéj barwy, powinien jednak być charakterystyczny, t. j. zachować w słowach i wyrażeniach każdéj z dyalogujących osób wszystkie cechy i odrębności właściwe dla jéj charakteru, temperamentu i usposobień. Wyłącza on zbyt wysoki nastrój w tonie, poetyczność, wzniosłość i zapał. Owszem częstokroć cały effekt, jaki się otrzymuje w scenach bardziéj dramatycznych, polega na opowiadaniu ich bez uniesienia. Jedyném ujściem, które bujniejszy polot formy może sobie w powyższych warunkach otworzyć, jest refleksya autora. Nie zawsze jednak refleksya jest konieczną i powieść dobrze obchodzi się bez niéj, jak tego mamy przykład w Panu Grabie. W ogóle język autorki jest gładki i płynny, więcéj jednak subtelny niż dowcipny. Rzadko znajdziesz w nim błyskotliwą grę wyrazów, która może ze względu na towarzystwo wchodzące do powieści byłaby wymagalna;—znajdują się jednak i takie miejsca. Kiedy np. p. Słabecka, typ ograniczonéj matki, a przytém i niedołężnéj, gubiącéj wszystkie swe drobiazgi damy, wróciwszy z jakiéjś wizyty i dowiedziawszy się o zaszłéj podczas jéj nieobecności śmierci syna, woła: „Où est mon fils?" Córka odpowiada jéj: „Vous l'avez perdu, maman!" Ma to i po polsku i po francuzku znaczenie podwójne. Miejsca takie choćby po francuzku dziwny sprawiają effekt. Również cierpienia Kamilli, żony bohatera powieści, są opisane ze staraniem i subtelnością tém więcéj zasługującą na uznanie, że łatwo tu było wpaść w melodramatyczność. Jednakże w rozmowach mężczyzn wchodzących do powieści, język powinien być barwniejszy. Takie zebrania hulaszcze nocne, przy świetle lamp, przy rozłożonych zielonych stołach, przy brzęku złota i kieliszków, w towarzystwie wyłącznie mezkiém, zatém i swobodniejszém, dają obfity materyał dla opisów. Na sennych pobladłych czuwaniem i wrażeniami gry twarzach ostrzejsze kanty namiętności występują wyraźniéj. Pewna rozbujałość towarzysząca takim posiedzeniom, effektowne łamanie się świateł i cieniów, rozgwar brzmiący w jednych salach i obok niebie cicha, senna niewinna spokojność przyległych kobiecych pokojów tworzą obrazy z natury wymagające barwistego a przytém energicznego języka. W tych miejscach język autorki cokolwiek za blady. Za blady naprzykład w porównaniu z Alkadarem, w którym mimo właściwéj Chojeckiemu rozwlekłości, zdaje się drzemać jakaś tajemnicza a potężna energia gwałtem tłumiona tylko okwitym potokiem słów autora. Nie można autorki bronić od zarzutu tém, że jest kobietą, bo, co na pochwałę pani Orzeszkowéj wyznać należy, tak pomysł jéj jaki sposób pisania, zwłaszcza w ostatnich powieściach, mniéj jest kobiecy niż innych naszych autorek. A przytém pani Orzeszkowa zna dobrze nietylko piękną ale i brzydszą połowę naszego społeczeństwa.

Zwracamy uwagę miłośników formy na jeden szczegół stanowiący charakterystyczną cechę talentu pani Orzeszkowéj.

Autorka na wzór malarzy szkoły holenderskiéj, celuje i lubuje się w tworzeniu akcessoryów, a szczególniéj akcessoryów należących do towarzyskiego konfortu. Potrzeba na to mieć dużo smaku. Jakiś dowcipniś nazwał tę łatwość malowania drobiazgów — sprytem tapicerskim. Rzeczywiście nikt tak nie mebluje pokojów, nikt z takim przepychem nie ubiera ani czesze swoich bohaterek, jak pani Orzeszkowa. Pamiętamy np., w powieści, p. t. „W klatce", opis mieszkania pani Klotyldy Warskiéj, we wsi Jodłowéj, czy jak się tam nazywa. Każdy mimowoli musi sobie powiedzieć: „Pani jak pani, ale fotele! co za fotele! a firanki! a obrazy, a marmury! a bronzy!" Oznacza to dobre serce, tak nie żałować na wygodne życie bohaterom i bohaterkom, a przytém nie jest to grzech przeciw estetyce. Wymyślność ta akcessoryów i drobiazgowość ich w opisie w mniejszych utworach psuje wprawdzie proporcyę a nawet prowadzi do śmieszności; w większych za to opowiadaniach, zwłaszcza w opowiadaniach z życia wielkiego świata, jak np. Pan Graba — podnosi plastykę miejsca i osób.

W Panu Grabie mniéj jednak zwracała uwagi autorka na formę niż na treść samą. O języku można powiedzieć, że nie razi niczém, ale się też niczém nie odznacza. Gładki!—oto wszystko. Tylko w scenach gdzie występuje Celina Klońska, mile nas uderza pewne serdeczne ciepło i naiwność, dochodząca w chwilach żywszych wzruszeń do szlachetnéj i podniosłéj prostoty.

W ogóle pomysł w Panu Grabie, a zwłaszcza pomysły pojedynczych scen przewyższają ich ekspozycyę. Sceny takie jak Celiny Klońskiéj z mężem, lub ordynatem Zrębskim, jak śmierć Słabeckiego, jak rozmowa Graby z żydem Widgerem, są pomyślane znakomicie. Szkoda nawet, że w ekspozycyi ich przebija więcéj łatwości pisania i wykształcenia umysłowego autorki, niż wrażliwości artystycznéj.

Nakoniec, co do poprawności języka, możnaby wytknąć niektóre, nieliczne zresztą usterki. Tak np. forma „lubiałem", któréj wszędzie używa pani Orzeszkowa, jest błędna. Forma częstotliwa słów występuje wprawdzie ze spójką *a*, ale od słowa „lubić", forma częstotliwa nie istnieje, i t. d. (*d. c. n.*)

LUDY KAUKAZU I KAUKAZ.

(Z BODENSTEDTA).

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 83).

W lecie w głębokich nizinach panuje taki nieznośny upał, że mieszkańcy szukają chłodu na górach. Przeciwnie górale wygnani silnym mrozem i głębokim śniegiem ze swoich lekko zbudowanych chat, w zimie schodzą na doliny szukać ze swojemi trzodami przytułku i pożywienia na łąkach między Alazan i Kur na stepach Upadur Karajoes (*) przerzniętych rzeką Jora. To są

(*) Kara-gios czyli czarne oko, step nazwany od czarnéj tłustéj ziemi, w zimie doskonałą utrzymuje paszę, w lecie niezamieszkały zupełnie dla duszący ich szkodliwych wyziewów.

zwykłe zbiorowe punkta Lezgińców i Tatarów przez zimę do wiosny. W miejscowościach nadmorskich, zarażonych wyziewami błotnistych brzegów, wystawionych na ciągłe wiatry i mgły, panują niebezpieczne choroby, zwłaszcza febry. Szczególniéj doliny i stepy między Szirwanem i chanatem Talisz, wielki pas pobrzeża Pontu, są prawie siedliskiem tych chorób mniéj szkodliwych dla krajowców niż obcych. Do najprzyjaźniejszych ziem dla zdrowia zaliczają Georgię, Kartli, Imeret, Mingrelię i północną część Dagestanu.

Abchazya na południowo-zachodnim stoku przedgórz kaukazkich, cieszy się także prześlicznym klimatem, szczególniéj wązki, słynny bogatą roślinnością pas wzgórz, idący między morzem i górami. Jednakże i w najzdrowszych okolicach, chłodne a często zimne noce, gwałtowne przejścia z upałów do zimna i przeciwnie, przy nieostrożném zachowywaniu się bywają przyczyną rozlicznych słabości.

Lud zamieszkały w Adighé od niepamiętnych lat, rycerskiém usposobieniem, patryarchalną prostotą obyczajów, pięknością postaci, bez zaprzeczenia pierwsze zajmuje miejsce pomiędzy plemionami Kaukazu. Powszechnie utrzymują, że lud ten jest pierwotnie osiadłym, i od czasu jak sięgają dzieje, znajdujemy go i dziś w tychże samych siedzibach. Bizantyni znali go pod nazwą: Cychów, Cechów—nazwisko Czerkiesów jest nowego pochodzenia. Klaproth mówi, że wzięte z tureckiego Czerkas (rzezimieszek), a Sękowski utrzymuje, że pochodzi z nowo-perskiego wyrazu Sterkesz (zbójca, przywódca). Pierwszy Chanocondylas wspomina o nich pod tém nazwiskiem.

Nie chcąc pomnażać nowemi domniemaniami początku nazwy Czerkiesów, ani iść za bajecznemi po większéj części doniesieniami podróżnych z ubiegłych stuleci, będziemy się starali przedstawić ich w obecnym stanie.

Podobnie jak Abchazowie, lud ten wyznaje religię będącą mieszaniną chrześciaństwa, islamu i pogaństwa. Chrześciaństwo, którego słabe ślady napotykają się pomiędzy mieszkańcami Adighé, zostało wprowadzone w V wieku. Zmałemi przerwami religia ta była panującą, czyli wyznawaną przez książęta i szlachtę, aż do wystąpienia na widownię sławnego Szeik-Mansura, który w drugiéj połowie zeszłego wieku odgrywał podobną rolę na Kaukazie, w jakiéj widzieliśmy znanego Szamila Lezgińczyka w Dagestanie.

W roku 1758 znajdujemy pierwszą wzmiankę w dziejach Kaukazu o Szeik-Mansurze. Fanatyczny ten głosiciel wiary, którego imię dziś jeszcze ze czcią wspominają wszystkie ludy islamu od Czarnego do Kaspijskiego morza, miał być przez Turków zapłacony, opatrzony w nieograniczone pełnomocnictwo, aby głosząc naukę Mahometa na Kaukazie, podburzał zarazem górali przeciwko wyznawcom innéj wiary. Oto legenda o życiu i dziełach Szeik-Mansura, którą zawdzięczamy Effendemu z Szirwanu.

Szeik Mansura, bohatera wiary
Opiewam pieśnią, ku czci jego sławy;
Tego wielkiego głosiciela wiary,
Co dzielny w boju, a w działaniu prawy.
On to prawdziwą wskazał ścieżkę wiary
Ludom Adighé, Szirwan, Dagestanu;
Językiem rozsiał nasiona téj wiary,
Wzrokiem błąd zniszczył, przyniósł cześć Koranu.
Bo słowa były radą wielkiéj wiary,
Jedynie świętéj, prawdziwéj jedynie,
Mieczem wskazuje siłę i czyn wiary,
Przed którą ucisk i niedola ginie.
Wszystko się zbiera przy rycerzu wiary
Kiedy w tryumfie z miast do miast przechodzi;
Wszystko hołd niesie prorokowi wiary,
Który współwiernym do zwycięztw przywodzi.
Od wód chazarskich wieją już sztandary
Aż do Adighé rozszerzonéj wiary;
Dla tego ku czci bohatera wiary,
Szeik-Mansura, z plemienia Osmanów,
Opiewa tę pieśń szczep téj saméj wiary
Kuli-Chan, rodem z ludu Arakanów.

W roku 1791, wojowniczy prorok przy zdobyciu szturmem twierdzy Anapy przez Rossyan, wzięty do niewoli umarł na wyspie Sołowieckoj (wyspa słowików). Od czasu Szeik-Mansura książęta i szlachta przyjęli islam i należą do sekty Sunitów, ale większa część ludu pozostała wierna dawnéj czci bogów, z których znakomitsze są:

1. *Szyble*, bóg piorunu, wojny i sprawiedliwości. Do niego modlą się zbrojni przed rozpoczęciem boju, a jeżeli zakończył się pomyślnie, niosą mu w ofierze najpiękniejsze owce. Burza przed bitwą jest dobrą wróżbą, drzewo zdruzgotane piorunem świętością,—największy przestępca pod jego cieniem ma pewne schronienie. Człowiek zabity od piorunu uchodzi za świętego i pogrzeb jego z nadzwyczajną odbywa się okazałością.

2. *Tleps*, bóg ognia. Cześć tego bóztwa jest ułamkiem religii Gwebrów, któréj rozliczne ślady napotykają się pomiędzy górskiemi plemionami.

3. *Seoseres* (Seozeros), bóg wody i wiatru. Jemu posłuszne morze i obłoki, on z wnętrza skał wyprowadza źródła. Rolnik prosząc go o deszcz wylewa ofiarny napój na wyschłe pole; narzeczona, któréj kochanek, żona, któréj mąż znajduje się na morzu, wylewają ofiarę w rzekę płynącą do morza z wiarą, że jéj wody niosą z radością to święte poselstwo do stóp bóztwa, którego tron w mórz głębinie, który odpowiedź swoją głosi poświstem wiatru, przeciągiem obłoków.

4. *Sekuta*, bóg podróżnych, który czuwa nad nimi, szczególniéj nad znajdującymi się na pobożnéj pielgrzymce. Gościnne ich przyjęcie Sekuta wynagradza błogosławieństwem i pomyślnością.

5. *Mesycza*, bóg lasów. Czczą go w cieniu jego własnych gajów, gdzie i wszystkie inne bóztwa mają swoje miejsca poświęcone, które, jak daleko tylko sięga liść wybranego drzewa, ofiarują bezpieczne schronienie przestępcom. W ważnych wydarzeniach zbierają się starcy pod świętemi dębami lasu, tam wydają wyroki, naradzają się nad wojną i pokojem, zbierają się na wojnę i t. p.

O zarządzie i wymiarze sprawiedliwości u górali nic pewnego powiedzieć nie można, albowiem w braku praw pisanych, wszystko odbywa się po większéj części według starożytnych zwyczajów i podań. W tych zaś wszystkie plemiona mniéj więcéj różnią się od siebie.

W pokoleniach, które Islam przeważnie wyznają, wyrok zwykle bywa oparty na koranie, jednakże wszędzie go zastosowują do miejscowych zwyczajów. W niektórych plemionach wybierają najczcigodniejszych i najstarszych wiekiem na sędziów, i każdy ich sąd przyjmuje bez szemrania.

Czerkiesy rozpadają się na trzy silnie od siebie odosobnione stany: książąt, szlachtę i chłopów, czyli prostych żołnierzy wojowników. Duchowni za szczupli są w liczbie, aby tworzyć mogli stan oddzielny, stawiają ich na równi ze szlachtą, a często z książętami. Jeńcy wojenni lub zbiegi są niewolnikami, rzadko przyjmują ich między walczących; część przeznaczają zazwyczaj do uprawy ziemi, a część do posług po znakomitych domach. Najwyższą władzą państwa była wola ludu; książęta i ich wassale, uzdeny (szlachta) byli wykonawcami téj władzy, a zarazem dowódcami w boju. Każdy Czerkies, z rodu żołnierz miał swój głos w zebraniach, na których się rozstrzygały sprawy pokoju i wojny. Lubo, jak powiedzieliśmy, każdy Czerkies od majmłodszych lat wprawiał się do broni, przecięż tylko w razach gwałtownéj potrzeby wzywano rolników na pole bitwy. (*d. c. n.*)

ROZMAITOSCI.

— „Journal du Bosphore" donosi, że dostojnik turecki Hassim basza napisał w języku tureckim dwuaktową operę: „Mahomet i jego zwolennicy." Pierwsza to opera napisana przez Turka dla teatru tureckiego.

— W Wiedniu przed gmachem gimnazyum akademickiego ma stanąć wspaniały pomnik dla uczczenia pamięci znakomitego kompozytora Beethovena. Towarzystwo przyjaciół muzyki przeznaczyło na ten cel 10,000 złr., która to summa jeszcze się pomnoży ofiarami dobrowolnemi drogą zapisów publicznych.

— Czytelnicy dzienników politycznych pamiętają, jak słuszne oburzenie wywoływało użycie przez komunalistów paryzkich nafty do podpalania stolicy Francyi. Lecz nie ma tego złego, coby komuś na dobre nie wyszło, a sądy ludzkie są bardzo względne. Obecnie dzienniki donoszą, że w Prussiech pilnie prowadzą się próby zastosowania nafty do wojny morskiéj; płyn ten niewinny gdy jest w lampie, ma się zapalać w wielkiéj massie i ciskać na statki nieprzyjacielskie za pomocą pomp o nader silném ciśnieniu. Oczywiście akceptowany w prawie narodów cel bezpośredni wojny: „sprawienie jak najmniejszym kosztem jak największéj szkody nieprzyjacielowi,"—osłoni naftę pruską od zarzutów.

— W państwie austryackiém na każdy dom przypada następująca liczba mieszkańców: w Niższéj Austryi 10,9, w Szlązku 8,2, w Czechach 8,1, w Salzburgu 7,5, w Karyntyi 7,5, na Pomorzu adryatyckiém 7,4, w Styryi i na Morawach 7,1, w Wyższéj Austryi, Tyrolu i Voralbergu 6,9, w Galicyi 6,5, w Krainie 6,4, w Dalmacyi 6, na Bukowinie 5,4. W samych miastach stosunek ten wypada jak następuje: w Wiedniu 59,6, w Pradze 47,5, w Tryeście 38,5, w Krakowie 35,7, we Lwowie 34,4, w Bernie 32,8, w Innsbrucku 57,3, w Hardcu styryjskim 28,8, w Lincu 21,7, w Lublanie 21,7 i t. d. Najmniéj mieszkańców na jeden dom w większych miastach przypada w Czerniowcach 9,6 i w Zarze w Dalmacyi 7,4.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 9 (21) Октября 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand M. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.